



OLAŃ POPKIEWICZ
Z WYKRYWACZEM
PRZEZ POLSKĘ

ZABÓR
PRUSKI

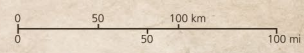


BUKOWY LAS





? 12. BURSZTYNOWA KOMNATA
LOKALIZACJA NIEUSTALONA



SPIS TREŚCI

WSTĘP	9
1. BRANIEWO	41
2. WAŁ POMORSKI 1945	65
3. KOLBERG 1807	93
4. ZAGŁADA DYWIZJI	121
5. MIERZEJA WIŚLANA 1945	151
6. RIESE	181
7. HEILSBURG 1807	213
8. KOCIOŁ TORUŃSKI 1945	237
9. MAZURSKIE TAJNE/POUFNE	263
10. KOSTRZYN 1945	301
11. BITWA O ŚLĄSK	337
12. BURSZTYNOWA KOMNATA	377

WSTĘP

Pozwólcie, Drodzy Czytelnicy, że się przedstawię. Nie będzie to zwyczajowe wymienienie imienia i nazwiska, bo te widnieją przecież na okładce niniejszej książki i wystarczy założyć sobie tę stronę palcem i sprawdzić, po czym bez kartkowania wrócić do przerwanej lektury. Poza tym, jeśli zdecydowaliście się kupić tę książkę, to mogę zakładać, że były Wam one wcześniej znane. Skupię się raczej na wytłumaczeniu, kim jestem i czym się zajmuję, gdyż te kwestie są kluczowe do zrozumienia pobudek, dla których zdecydowałem się niniejszą pracę popełnić.

Archeologia i jej źródła

Jestem archeologiem, czyli człowiekiem, który zajmuje się poznawaniem przeszłości rodzaju ludzkiego poprzez badanie materialnych reliktyw jego działalności. To chyba najtrafniejsza definicja archeologii jako nauki i – co najważniejsze – mieszcząca się w jednym zdaniu złożonym. Nieco je rozbudowując, ale jednocześnie nadając mu formę bardziej klarowną dla niearcheologów (za to przez archeologów znienawidzoną), możemy uznać, że archeolog to badacz odpadków po ludziach, którzy żyli w przeszłości. Odpadki te archeolodzy zwykli nazywać źródłami archeologicznymi.

Pod pojęciem źródeł archeologicznych kryją się dwie zasadnicze grupy odpadków, jakie zostawili po sobie nasi przodkowie.



Skarb archeologiczny niekoniecznie musi być skarbem w potocznym tego słowa znaczeniu. Nie może tego pojąć opinia publiczna, co często rodzi oplakane w skutkach nieporozumienia

Pierwszą grupę stanowią pospolite śmieci, do których produkcji człowiek ma wyjątkowy talent i z wieku na wiek coraz bardziej go rozwija. Co więcej, w parze ze zwiększaniem ilości wytwarzanych śmieci idzie podwyższenie ich odporności na procesy rozkładu, przez co stają się one praktycznie wieczne. Produkcję śmieci rozpoczęto od wyrzucenia z jaskini ogryzionych kości, wkrótce dodając do nich wdeptywane w ziemię odłupki krzemiennych narzędzi i skorupy potłuczonych garnków, do których niebawem dołączyły żużle z pieców hutniczych, by na przełomie XVIII i XIX wieku, w wyniku tak zwanej rewolucji przemysłowej, konsumpcję rozwinąć do niespotykanych rozmiarów, a co za tym idzie asortyment śmieci zaczęto rozszerzać niemal w nieskończoność. Opisane przeze mnie pospolite śmieci wyrzucane przez człowieka noszą w archeologii miano

„archeologicznych źródeł ruchomych”. Mówimy o źródłach, ponieważ to właśnie z nich archeolog czerpie swą wiedzę o przeszłości rodzaju ludzkiego, a o ruchomych, bo można je podnieść i ze sobą zabrać (czasem wkładając do kieszeni, a czasem przy pomocy szwagra i HDS).

W opozycji do źródeł ruchomych znajdują się „archeologiczne źródła nieruchome”, czyli takie, których nie da się zabrać nawet przy pomocy szwagra i HDS. Można je podzielić na dwie podgrupy. Podgrupę pierwszą tworzą nawarstwienia powstające w wyniku działalności człowieka. Wyobraźmy sobie te wszystkie wylewane przed dom pomyje, wyrzucane niedopałki czy po prostu ziemię, którą na podszwach butów przynosimy do domu. Każdy, kto kiedyś, w trakcie wizyty u rodziny na wsi, stanął przed stodołą, wie, o czym piszę. Można powiedzieć, że teraz mamy kanalizację i nie trzeba wylewać pomyj na podwórze. Zgodzę się z tym i wskażę na współczesne osiągnięcia w kwestii tworzenia nawarstwień archeologicznych, takie jak hałdy odpadków produkowanych przez mieszczuchów noszące miano wysypisk śmieci, dryfujące po oceanach wyspy zbudowane z worków foliowych i plastikowych butelek czy plaże, na których zamiast ziarenek piasku zalegają tony polietylenowych granulek. Twierdzę, że nie jest to ostatnie słowo ludzkości w kwestii zaśmiecania swego otoczenia i tym samym tworzenia wspomnianych źródeł archeologicznych. Podgrupa druga archeologicznych źródeł nieruchomych obejmuje różnorakie przekształcenia krajobrazu, do jakich prowadzi człowiek, wznosząc rozmaite budowle. Budowle z kolei dzielą się na trzy kategorie, które odzwierciedlają trzy etapy rozwoju cywilizacyjnego człowieka.

Podczas pierwszego etapu człowiek dzięki swej pomysłowości starał się o lepszy byt i kiedy go osiągnął, zabezpieczył się na wypadek, gdyby ktoś lub coś próbowało go pozbawić zdobyczy cywilizacyjnych. Kiedy te zabezpieczenia okazały się skuteczne, decydował się postawić pomnik, który miał ów sukces upamiętnić.

Lepszy byt to przede wszystkim dach nad głową. Ułożenie na sobie kilku kijków i liści łośnianu w celu zapewnienia ochrony przed deszczem

czy zimnem nie wpływało zbyttnio na krajobraz i nie zostawiało w nim trwałych śladów, przez co możemy jedynie podejrzewać, że ludzkość takowe u swego zarania wznosiła. Potem zaczęto kopać w ziemi dziury i nakrywać je dachami, by po przebyciu długiej i krętej drogi ewolucji budownictwa mieszkaniowego dojść do osiedli skonstruowanych z wielkiej płyty. Zaspokojenie bardziej zaawansowanych potrzeb bytowych wymagało przekopania kanałów, budowy śluz, tworzenia sztucznych zbiorników wodnych oraz tyczenia dróg, wznoszenia mostów i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Te wszystkie przedsięwzięcia wymagały daleko idącej ingerencji w krajobraz, a była ona jedynie środkiem do osiągnięcia profitów, w których efekcie ludzie mogli żyć dłużej i mieć znacznie pełniejsze brzuchy.

Dzięki budowie domów ludzi nie trapiły deszcze i zimno, a stawy rybne, obory i chlewy zapewniały sytość, która jest gwarantem cywilizacji. Świadomość ciężko wypracowanego dobrobytu zrodziła troskę o jego utrzymanie. Z owej troski człowiek zaczął dbać o zabezpieczenie mienia przed zwierzętami, a wraz z rozwojem cywilizacji także przed innymi ludźmi, którzy chcieliby go tych dóbr pozbawić. W ten sposób w ciągu tysięcy lat rozwoju cywilizacja ludzka przeszła od ułożonych przed wejściem do jaskini kamieni i wbitych w ziemię zaostrzonych kijów do schronów Linii Maginota.

Kiedy już żyło się dostatnio, a wbite w ziemię kije chroniły przed dzikimi zwierzętami, człowiek miał czas na zamanifestowanie swego zwycięstwa nad środowiskiem, przekształcając je w sposób specyficzny już tylko dla rodzaju ludzkiego. Postanowił mianowicie zostawić pamiątkę osiągniętego tryumfu; coś, co podkreśliłoby jego dominację nad otoczeniem. Jako że w życiu człowieczym pewne jest jedynie to, że kiedyś umrzemy, upamiętnienia te często dotyczyły szczątków ludzi, którym w ten sposób zapewniano rodzaj nieśmiertelności.

U swego zarania zwyczaj grzebania czy palenia zmarłych wynikał z zasad bezpieczeństwa, aby zapach rozkładających się zwłok nie zwiabił drapieżników. Z drugiej strony praktyka ta dyktowana była przyczynami



Dawne nekropolie nazywamy cmentarzyskami. Stanowią one cenne źródło poznania przeszłości rodzaju ludzkiego. Dziwi, że w XXI wieku wielu Polaków wciąż odbiera takie badania jako przejaw bezczeszczenia zwłok

sanitarnymi (o których zasadności przekona się każdy, kto doświadczy wątpliwej przyjemności oddychania wonią rozkładających się zwłok). W dalszej kolejności wynikała też z poczucia wspólnoty, z którego brał się wzajemny szacunek jej członków. Bo właśnie umiejętność działania w grupie zapewniała rodzajowi ludzkiemu przewagę w nieustającej wojnie z otoczeniem. Echa tego zjawiska widzimy w zasadach nakazujących żołnierzom nie porzucać ciał swych poległych na polu walki.

Wraz z rozrastaniem się ludzkich zbiorowości zaczęto upamiętniać nie tylko poszczególne jednostki, ale też całe społeczności. Tak wymyślono cmentarze – specjalnie wyznaczone miejsca, w których składa się szczątki zmarłych. Pozostający zawsze po usypaniu mogiły nadmiar ziemi lub

kamieni wykorzystywano, tworząc charakterystyczne kopce. W ten sposób powstały kurhany.

Zabezpieczanie ludzkiej zbiorowości przed utratą wypracowanego majątku, a także zdrowia czy życia, początkowo polegające na wkopywaniu na sztorc zaostrzonych kijów czy układaniu kamiennych murków, szybko wzbogaciło się o nowy środek zaradczy. Zatknięta na pal głowa tygrysa, którego brawurowa próba pożarcia dziwnych dwunożnych małą zakończyła się fiaskiem, temperowała zapędy innych tygrysów, jednocześnie stanowiąc świadectwo tryumfu tych ssaków, które kilkadziesiąt tysięcy lat później zaczęły nazywać się naczelnymi. Był to zapewne pierwszy pomnik wzniesiony przez rodzaj ludzki. Echa tej praktyki możemy zaobserwować nawet dziś, gdy sąsiad działkowiec ustraja krzaki porzeczek martwymi wronami, w nadziei że zniechęci to krewniaków nieszczęsnych ptaszysk do zjadania owoców. Od tej zatkniętej na kiju czaszki pokonanego drapieżnika czy martwego ptaka na płocie sąsiada działkowca wiedzie już prosta droga ku wspaniałym pomnikom bohaterów wojennych, którzy wymachując szablami na kamiennych cokołach, podkutymi butami depczą pokonanych wrogów (a w wersjach łagodniejszych – ich sztandary).

Kombinacja form kurhanów i zatkniętych na kiju czaszek ewoluowała w zupełnie nową konstrukcję, która jest wspólna dla wielu cywilizacji ludzkich, czyli piramidę. Uniwersalny kształt wielkiego kamiennego lub ziemnego stożka jest spotykany od Bliskiego Wschodu przez kontynent afrykański aż po Amerykę. Te gryzące się z otaczającym je krajobrazem spektakularne budowle są niczym innym jak manifestem ludzkiej cywilizacji krzyczącej: „Potrafimy to zrobić i nie jest to nasze ostatnie słowo”. Rzeczywiście nie było, gdyż u zarania współczesnej kultury europejskiej piramidy przebite zostały przez wieżę Eiffla.

Cywilizacje powstawały i upadały, ludzie przemieszczali się, wojowali ze sobą, rodzili się i umierali, a odpadki po tych wydarzeniach coraz grubszym kożuchem pokrywały matkę ziemię. Z ziemi sterczały porośnięte drzewami ruiny zapomnianych budowli, a wody rzek pienią się wokół

filarów dawno zburzonych mostów. Bardzo długo ludzkość nie zwracała uwagi na te relikty. Na przykład nasz słynny dziejopis Jan Długosz w swych *Rocznikach*, spisanych w drugiej połowie XV wieku, wspominał, co następuje:

„Dwie osobliwości są w krainie polskiej cudowne, zadziwiające [...]. Jedna, że na polach wsi Nochowa w pobliżu miasta Śremu w diecezji poznańskiej, a także we wsi Kozielsko w pobliżu miasteczka Łekna w powiecie pałuckim rodzą się w łonie ziemi garnki, same z siebie, wyłącznie sztuką przyrody, bez jakiegokolwiek dopomagania ludzkiego, wszelkiego rodzaju i różnych kształtów, do tych podobne, których używają ludzie, delikatne wprawdzie i miękkie, gdy tkwią jeszcze w rodzinnym swym gruncie w ziemi, przecie gdy się je wyjmuje [stają się] szczelne i stwardniałe na słońcu i wietrze”.

Aż dziw bierze, że napisano to w czasach, kiedy Kopernik pracował nad teorią heliocentryczną, a Leonardo da Vinci eksperymentował z machinami latającymi. Z Długoszem rozprawię się później. Faktem jest natomiast, że mimo upływu stuleci i wykształcenia się archeologii jako nauki w dalszym ciągu nie udało się upowszechnić wiedzy, o co w archeologii właściwie chodzi.

Archeolog i skarby

Opinia publiczna w początkach XXI wieku stoi na stanowisku, że archeolog to gość, który szuka skarbów. Taki pogląd propagowany jest w kulturze masowej i udziela się często samym archeologom, co prowadzi do serii zabawnych nieporozumień. Aby uniknąć powielania tego stereotypu,

* Jan Długosz, *Roczniki, czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego*, 1480, księga I.

opisując zakres zainteresowań archeologów, rozmyślnie milczeniem pominąłem istotną grupę źródeł archeologicznych, które odpadkami przecież nie są i popularnie nazywane są skarbami.

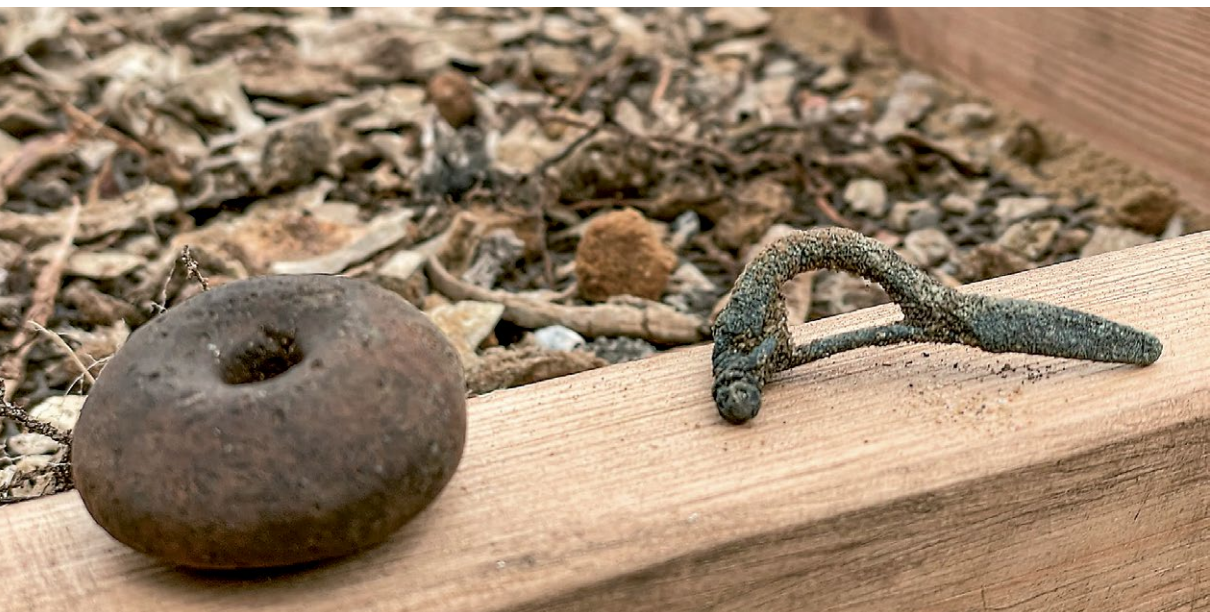
Skarby zostawiłem na deser, chcąc najpierw wyjaśnić, czym zajmuje się archeologia i czym są źródła archeologiczne. Skoro ta kwestia została już naświetlona, przyznam, że spośród archeologicznych źródeł ruchomych istnieje grupa, którą zwykle nazywać się skarbami archeologicznymi. Średnio raz w miesiącu zimowym i raz na tydzień latem szpalty gazet przeszywa sensacyjna wiadomość, że archeolodzy lub poszukiwacze odnaleźli gdzieś skarb. Taka informacja od razu przykuwa uwagę czytelników. Większość ludzi poprzestaje na przeczytaniu nagłówka, nie zagłębiając się w istotę owego skarbu, który w powszechnej świadomości postrzegany jest jako coś, co da się spieniężyć, polepszając swój byt. Nie sposób nie zgodzić się z tą definicją, tyle że coś, co archeolodzy zwykli nazywać skarbem, dziś niekoniecznie tym skarbem być musi. Archeologia bada przecież przeszłość człowieka i na tej przeszłości się skupia. A przez co najmniej sto tysięcy lat historii rodzaju ludzkiego istniały różne systemy wartości, które niekoniecznie pokrywają się z tymi akceptowanymi współcześnie. Aby opisać to bardziej przystępnie, posłużmy się przykładem mezolitycznego łowcy-zbieracza Mariana (mimo wysiłków całych pokoleń archeologów nie są nam znane imiona używane w mezolocie, nazwijmy go więc roboczo Marianem).

Marian zamieszkiwał obecne ziemie polskie jakieś dziesięć tysięcy lat temu i w sporządzonej z bobrzej skóry sakwie ukrył piękne egzemplarze krzemieni. Obrobione, mogły stać się nożami, grotami włóczni czy siekierkami, a drobniejsze zbrojnikami osadzonymi w drewnie lub porożu. Krzemień był bardzo cennym, niespotykanym w rejonach Mariana surowcem, który przywędrował z południa i został wymieniony na całą stertę bobrzych skórek. Gdyby odpowiednio te krzemienie połupać, można by uzbroić całe plemię w nową, doskonalszą broń. Marian miał smykałkę do interesów i w tych krzemieniach upatrywał lokaty kapitału na starość, gdyż dożył sędziwego wieku trzydziestu pięciu lat. Niestety



Przeszłość drzemie dosłownie pod naszymi stopami i często ujawnia się w niespodziewanych momentach. Widoczna na zdjęciu urna kultury wielbarskiej spoczywała niemal dwa tysiące lat pod dwudziestocentymetrową warstwą piasku, by wyrzeć na światło dzienne podczas badań cmentarzyska w okolicach miejscowości Stara Rzeka

bogactwo Mariana nie umknęło uwagi młodych i wyjątkowo drapieżnych łowców o malowniczych kołtunach i wymalowanych na twarzach barwach wojennych. Zaproponowali Marianowi wymianę krzemieni na zachowanie ciągłości cielesnej. Naturalnie taki układ niezbyt urządził Mariana i przeczuwając najgorsze, postanowił on ukryć swój skarb. Kiedy nastąpiła noc, zakopał go pod krzaczkiem z dala od obozowiska. Nie wiadomo, czy zawistni łowcy, rozsierzeni brakiem skarbu, zabili Mariana, czy może ten trzydziestopięcioletni staruszek cierpiał na demencję i zapomniał, gdzie ukrył swoje precjoza. Jedno jest pewne. Nigdy po nie nie wrócił. Mijały lata, a Marianowe krzemienie spoczywały sobie przykryte



Archeologia to nauka odkrywająca nieznaną kartę historii rodzaju ludzkiego na podstawie analizy materialnych relikwów jego działalności. Przęślik i zapinka odnalezione w grobie ciepłopalnym pozwalają na dość dokładne wskazanie ram chronologicznych tego pochówku, a antropologiczna analiza szczątków umożliwi określenie płci pochowanych

warstwą piasku pod krzaczkiem, który powoli przerodził się w drzewo. Drzewo dożyło swych dni, wydając cały las następców. Potem przyszli ludzie i wyrabiali las, zamieniając go w pole orne. Pole zalewały wiosenne powodzie i mroziły zimy. Pewnego dnia zdeptały je nawet buciorzy tysięcy żołnierzy, którzy upodobali sobie akurat to miejsce, aby pozbawiać się na nim życia w sposób hurtowy i spektakularny zarazem. Tymczasem skarb Mariana spoczywał pod ziemią, całkowicie niewidoczny dla oka ludzkiego, sporadycznie odwiedzany przez myszy polne i krety, zupełnie nieświadomy upływu lat. Od czasu kiedy krzemienie ostatni raz oglądały słońce, minęły tysiąclecia.

Nagle skrywające skarb grobowe ciemności zaczęły rzednąć i przy akompaniamencie hałasu, który nie przypominał niczego słyszanego w mezolitycznym świecie, krzemienne buły wyrzuciły na światło dzienne. Operator koparki zatrzymał pojazd i wyskoczył z szoferki. Schylił się i podniósł jedną z bryłek. Ważąc ją w dłoni, nie ukrywał rozczarowania. „Wszędzie piasek, a tutaj jakieś kamloty...” Pogardliwie rzucił za siebie krzemień i wrócił do przerwanej pracy.

Jak widać, upływ tysięcy lat całkowicie zdevaluował wartość mezolitycznego skarbu i w XXI wieku zostałby on doceniony tylko przez wąską grupę koneserów, których zwykło się nazywać archeologami. Gdyby to oni do niego dotarli, szpalty gazet krzyczałyby nagłówkami, w których słowa „skarb” i „sensacja” znalazłyby poczesne miejsce.

Aby skarb się zdevaluował, nie muszą zresztą upłynąć tysiące lat. Przeszukując zniszczone w ramach Akcji „Wisła” bojkowskie wsie, często natrafiamy na depozyty pełne żelaznych skobli, zębów i okuć od bron czy kopaczek. Wartość materialną tych przedmiotów oceniać można według cen obowiązujących w skupach złomu, lecz dla zakopujących je gospodarzy, opuszczających swe rodzinne wsie, by szukać szczęścia na Ziemiach Odzyskanych, były one skarbami, które planowali wykopać, gdy wrócą kiedyś w rodzinne strony. Tak, Drodzy Czytelnicy. Skarb archeologiczny niekoniecznie musi być tożsamy ze skarbem współczesnym. W archeologii skarbem nazywamy ruchome źródła archeologiczne, które w momencie ich depozycji przedstawiały dla ukrywającego je człowieka wymierną wartość.

Czym jest zabytek archeologiczny?

Omówiliśmy już zatem archeologiczne źródła ruchome wraz ze skarbami, źródła nieruchome z nawarstwieniami archeologicznymi i piramidami, lecz symptomatyczne jest, że ani razu w tym wywodzie nie padło

słowo „zabytek”. Uczyniłem to po raz kolejny z wyrachowaniem, aby uzmysłowić Wam, że pojęcie „źródło archeologiczne” nie jest tożsame z zabytkiem. Jesteście pewnie zdziwieni, prawda? Śpieszę więc z wyjaśnieniem. Jak już pisałem, źródła archeologiczne to materialne relikty działalności człowieka, z których archeolog czerpie wiedzę o przeszłości rodzaju ludzkiego. Ta przeszłość może być bardzo odległa, lecz także niesamowicie bliska. Na przykład pewien doktor archeologii rozpoczął badania w ruinach zamku krzyżackiego, za cel wykopalisk biorąc zawaloną gruzem piwnicę siedziby komturstwa Zakonu Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Przez dwa tygodnie jego studenci wywozili na taczkach gruz, by wreszcie spod połamanych cegieł wyjrzała posadzka zamkowego lochu, a na niej sfatygowany tekturem kubek z McDonalda. Ten kubek stał się dla naszego naukowca źródłem archeologicznym, dzięki któremu uzyskał pewność badawczą, że piwnica została zawalona gruzem na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Jako doświadczony badacz ów archeolog nie zapakował tego źródła w worek strunowy, nie opatrzył metryczką ani nie włączył go do inwentarza zabytków, tylko zmełł pod nosem przekleństwo i wyrzucił śmieć tam, gdzie jego miejsce, czyli do kosza. Zabytki archeologiczne to źródła ruchome lub nieruchome, które dostarczają badaczom nowej wiedzy o przeszłości człowieka, a nie wszystkie wykopane spod ziemi szpargały, jak uważają niektórzy.

Przejdźmy na chwilę do sedna, by znów na moment zboczyć z kursu

Skoro wyłuszczyłem Wam już, czym para się archeolog, jesteście wstępnie gotowi, aby zrozumieć ideę niniejszej książki. Jest to publikacja dość nietypowa. Ma charakter przewodnika po Polsce, ale napisanego przez archeologa, czyli kogoś, kto mniej szuka skarbów, a bardziej próbuje

poznać przeszłość człowieka poprzez relikty jego działalności. I właśnie po tych śladach minionych wieków spróbuję Was poprowadzić. Nie oznacza to, że w swoich opowieściach przedstawię suchą listę walących się ruder i dziur w ziemi. Spróbuję tchnąć życie w te nadszarpnięte zębem czasu ostańce przeszłości i sprawić, byście zrozumieli, że są one nie tylko siedliskami nietoperzy, szczurów i wszelkiego robactwa, ale przede wszystkim cieniami wydarzeń fascynujących, wzruszających czy przerażających; wydarzeń, w których brali udział ludzie tacy sami jak my. Bo archeologia to nauka humanistyczna, której celem jest poznanie człowieka, nie zaś gromadzenie przerdzewiałych mieczy i potłuczonych garnków. Poznając naszą przeszłość, możemy lepiej zrozumieć siebie samych. Zapraszam więc na wędrowkę po Polsce, która pozwoli Wam pojąć, dlaczego jesteśmy tak specyficznym narodem, i odrobinę odczaruje tę krainę wrózek i jednorożców, jaką w pojęciu większości Polaków jest nasza przeszłość. Będzie to swoisty seans spirytystyczny, w którym zamiast talerzyka i świec użyjemy mapy, samochodu oraz... wykrywacza metali. Nie przewidzieliście się, wykrywacza metali. Tak napisałem i w pełni za to odpowiadam. Niestety, prowokuje to kolejną dygresję.

O wykrywaczu min i tak zwanym detektoryzmie

To urządzenie geofizyczne pojawiło się jako ciekawostka jeszcze w XIX wieku i posłużyło do zakończonej fiaskiem próby wykrycia pocisku tkwiącego w ciele ranionego przez zamachowca prezydenta Stanów Zjednoczonych. Niepowodzenie wysiłków znanego wynalazcy, Alexandra Grahama Bella, którego następstwem była śmierć dwudziestego prezydenta USA, na dłuższy czas pogrzebało rozwój wykrywacza metali. Być może, gdyby Bell zorientował się, że ciało ranego Jamesa A. Garfielda podczas sondowania wykrywaczem spoczywało na materacu naszpikowanym stalowymi



Wędrówki z wykrywaczem są świetną formą relaksu na świeżym powietrzu i oderwaniem od zgiełku cywilizacji

sprężynami, przyrząd ten trafiłby pod strzechy dużo wcześniej. Trzeba było jednak poczekać jeszcze pół wieku, by wydarzenia dużo gwałtowniejsze niż strzał zamachowca spowodowały powstanie urządzenia, które dziś można kupić w niezliczonej liczbie odmian i kolorów.

Muszę z żalem przyznać, że podstawowym motorem rozwoju rodzaju ludzkiego od zarania cywilizacji były nie miłość czy szacunek, lecz wojna. Nie inaczej miało się to w przypadku wykrywaczy. Głównym impulsem do prac nad urządzeniem będącym w stanie wykrywać metale było zastosowanie przez wojsko wybuchowych pułapek, zwanych powszechnie minami. Gwałtowny rozwój techniki militarnej, jaki nastąpił pod koniec

XIX wieku, doprowadził do opracowania materiałów wybuchowych bardzo odpornych na warunki atmosferyczne, a do tego dysponujących siłą dużo przewyższającą moc stosowanego od średniowiecza czarnego prochu. Wynalezienie trotylu, heksogenu czy pentrytu dzielił już tylko mały kroczek od opracowania miny przeciwpiechotnej. Wojskowi aż piali z zachwytu nad małymi metalowymi puszkami, które ledwo muśnięte, wyskakiwały na półtora metra w górę, rażąc dziesiątkami metalowych kulek, lub nadeptane, amputowały stopę, rozwarstwiając przy tym goleń jak łydę rabarbaru. Były tanie w produkcji, a odpowiednio ukryte – nie do zauważenia.

Ten zachwyty niebawem ustąpił przerażeniu, kiedy okazało się, że owymi minami dysponują nie tylko ci dobrzy, ale także ich przebrzydli wrogowie (a może odwrotnie?). Trzeba było zadbać, by liczba kończyn walczących w II Wojnie Światowej żołnierzy podzielona przez dwa dawała liczbę gotowych do walki wojowników, nie zaś zamieniała się w kłopotliwe nieparzyste ilorazy. W ten sposób wraz z wybuchem największego konfliktu w dziejach ludzkości obydwie jego strony rozpoczęły prace nad urządzeniem zdolnym namierzać miny. Ponieważ ich obudowy były wykonane z żelaza, najbardziej logiczne wydawało się opracowanie aparatu zdolnego to żelazo wykrywać. Mniej więcej w tym samym czasie zarówno Brytyjczycy, jak i Niemcy opracowali własne konstrukcje zwane wykrywaczami min (ang. *Mine Detector*, niem. *Minnensucher*). Wkrótce wykazały one swą przydatność, ratując wiele istnień ludzkich, nie tylko podczas wojny, lecz także po jej zakończeniu – miny bowiem nie przejęły się decyzjami polityków i kontynuowały wojnę, mimo że tamci postanowili już ją skończyć.

Niejako z kronikarskiego obowiązku nadmienię, że ojcem pierwszego alianckiego wykrywacza min z prawdziwego zdarzenia był polski inżynier Józef Kosacki, który rozpoczął prace nad tym urządzeniem jeszcze przed wybuchem wojny, by sfinalizować swój projekt już po tym, kiedy warszawska Wytwórnia Radiotechniczna AVA, w której był zatrudniony, została zajęta przez Niemców. Trzeba przyznać synom Albionu, że docenili polski

wkład w ów wynalazek, nadając wykrywaczowi min skonstruowanemu przez naszego rodaka nazwę „Mine Detector (Polish) Mark I”.

Już podczas II Wojny Światowej zauważono przydatność wykrywaczy min w celach zupełnie niezgodnych z ich pierwotnym przeznaczeniem. Szybko zorientowano się, że sprawdzają się nie tylko w znajdowaniu niechcianych przez nikogo przedmiotów metalowych, czyli min, lecz także w... poszukiwaniu skarbów. Pierwszego przypadku tego typu nieregularnego użycia wojskowego wykrywacza min dopatruję się w odkryciu dokonanym przez Niemców w 1942 roku na zamku w Kurzętniku, kiedy to z ruin krzyżackiej warowni została wydobyta średniowieczna bombar-da, którą można dziś podziwiać na zamku w Kwidzynie.

Jak już wspomniałem, II Wojna Światowa była największym konfliktem w dziejach ludzkości, nie tylko charakteryzującym się rekordową liczbą ofiar, lecz także zdobywcą *grand prix* w kategorii liczby zaangażowanych w niego ludzi oraz, co za tym idzie, wykrczonego licznika wyprodukowanych narzędzi niezbędnych do jego prowadzenia. Śmiało można powiedzieć, że doprowadziła do wytworzenia niespotykanej ilości śmieci w rekordowo krótkim czasie. Bo kiedy ucichły działa, wszystkie te hełmy, manierki, menażki i karabiny okazały się niczym więcej jak kłopotliwymi śmieciami. Brakowało wody, chleba i opału, za to magazyny wojskowe pękały w szwach od zamków do armat, lornet nożycowych, masek przeciwgazowych, granatów ręcznych, a także... wykrywaczy min.

Pośród wspomnianych magazynów na uwagę zasługują przede wszystkim gigantyczne składy armii brytyjskiej w holenderskiej Antwerpii, belgijskim Emblem, niemieckim Hanowerze, a także w Hamburgu, znane jako 15 Advanced Base Ordnance Depot RAOC, które utworzono w trakcie działań wojennych. Mało kto wie, że owe magazyny użytkowane były aż do końca Zimnej Wojny, a ostatni z nich zlikwidowano w 1992 roku. Jeszcze okazalej prezentowały się magazyny US Army w Liège i Verdun, które zostały ustanowione na terytorium Belgii i Francji.

Sama Wielka Brytania wyprodukowała pół miliona detektorów pomysłu naszego rodaka. Składowanie tego wojskowego outletu, bezużytecznego w warunkach pokoju, sporo kosztowało, a państwa wyniszczone wojną starały się za wszelką cenę ciąć koszty. Trzeba więc było wymyślić jakieś pokojowe zastosowanie dla narzędzi wojny, które wyprzedawano na lewo i prawo. Maski przeciwgazowe posłużyły rolnikom do ochrony podczas oprysków, metalowe zasobniki na amunicję stały się skrzynkami na narzędzia, hełmy emaliowano i zamieniano w nocniki, miski i durszlaki, a z czasz spadochronów szyto jedwabne pończochy. Przedmioty te sprzedawano poniżej kosztów wytworzenia, byle tylko uwolnić od ich brzemienia regały magazynów wojskowych.

W ten właśnie sposób setki tysięcy nikomu już niepotrzebnych wykrywaczy min wyrzwały z przepastnych ciemności wojskowych składów. Wyrzwały nieśmiało, bo nie były towarem pierwszej potrzeby. Szybko jednak odkryto, że mogą stać się narzędziem do poprawienia kondycji finansowej przymierających głodem ludzi, a przynajmniej dać nadzieję na taką poprawę. Po zakończeniu II Wojny Światowej narody Europy borykały się z gigantycznym kryzysem, który z jednej strony wynikał ze spustoszeń, jakie pociągnęła za sobą wojna, a z drugiej – z roztrwonienia majątków narodowych na bardzo drogie czołgi, krążowniki i haubice, które te spustoszenia spowodowały. Jednak największego uszczerbku na majątności Belgów, Holendrów czy Francuzów nie spowodowały naloty i bombardowania, tylko grabieżcza polityka okupanta, czyli III Rzeszy. Kiedy od 1943 roku Niemcy zaczęli przegrywać na wszystkich frontach, ich rolnictwo i przemysł nie nadążały z produkcją dla wojska, nie mówiąc o potrzebach cywilów. Przeciwdziałano temu poprzez masową grabież majątku obywateli państw okupowanych. (Do dziś wśród Holendrów żywe jest hasło: „Niemcy, oddajcie nam nasze rowery”). Przyciśnięci niemieckim butem mieszkańcy państw Beneluksu, aby nie umrzeć z głodu, musieli zamieniać swe ukwiecone ogródki na grządki warzywne. Kiedy gwałtowne uderzenie aliantów wyzwoliło kraje Europy Zachodniej spod hitlerowskiej okupacji, wkraczający do Francji, Belgii czy Holandii

żołnierze sił sprzymierzonych nie mogli zwyczajem wszystkich zwycięskich armii plądrować zajmowanych terytoriów, gdyż ubiegli ich w tym Niemcy i na dobrą sprawę nie było tam czego kraść.

Powojenna bieda powodowała żądanie zadośćuczynienia poniesionych strat przez sprawców tego nieszczęścia, czyli Niemców. Cóż jednak było robić, gdy Niemcy nie zdołali umknąć przed karzącą ręką sprawiedliwości i byli tak samo biedni jak narody pokrzywdzone przez III Rzeszę. Sami padli ofiarą systemu, w którego interesie walczyli. Zrabowane dobra zostały zaś skupione w garści wąskiej grupy działaczy partii nazistowskiej, którzy w porę salwowali się ucieczką do państw nierespektujących międzynarodowych umów ekstradycyjnych. Krążyły słuchy, że czmychający jak zajęce hitlerowscy notable nie zdołali zabrać ze sobą wszystkich zrabowanych bogactw i na wzór piratów ukrywali to, czego nie byli w stanie wywieźć. Poszukiwanie tych depozytów stało się sposobem na choćby chwilowe zapomnienie o nędzy, jaka przez pierwsze powojenne lata zaglądała w oczy Europejczyków.

Świetnym rekwizytem w tej zabawie w poszukiwanie skarbów stały się wykrywacze min, które można było nabyć za grosze w wielkich wojskowych magazynach, zrzędzeniem losu znajdujących się w krajach Beneluksu i we Francji. Nie przez przypadek tak zwany detektorizm ma wielkie tradycje właśnie w tych państwach i twierdzę, że to owe opracowane przez Józefa Kosackiego wykrywacze min walnie się do tego przyczyniły. Z początku był to sposób na związanie końca z końcem, który wraz z szybko poprawiającą się sytuacją ekonomiczną na Zachodzie przerodził się w hobby.

Polska drugim Beneluksem

Po drugiej stronie żelaznej kurtyny panowała jeszcze większa bieda, lecz wojska Układu Warszawskiego nie miały zwyczaju wyprzedawania demobilu własnym obywatelom, którym, delikatnie mówiąc, niezbyt ufano. Przymierający głodem Kowalski też słyszał o zakopanych w ziemi

nazistowskich skarbach, lecz w ich poszukiwaniu musiał się zadowolić zaostrzonym drutem lub różdżką. Tak było do momentu, gdy na mocy międzynarodowych umów na początku lat siedemdziesiątych żelazna kurtyna lekko się uniosła, co umożliwiło Polakom wyjazdy na Zachód w celach zarobkowych, a Niemcom nostalgiczne wycieczki na utracone bezpowrotnie terytoria, nazwane przez polityków Ziemiami Odzyskanymi. Nigdy nie odbywało się to w przeciwną stronę, a powód był bardzo prosty. W 1960 roku gospodarka RFN stała się drugą co do wielkości – po USA – gospodarką na świecie, przez co miesięczny dochód Polaka w 1970 roku był równy wynagrodzeniu za cztery godziny pracy w Niemczech. Z tej przyczyny funkcjonujące podówczas w Polsce określenie „bogaty Niemiec” można uznać za 2.



Wśród wielu ludzi panuje przekonanie, że nadrzędnym celem archeologa jest wydobywanie z ziemi różnych cennych przedmiotów, którymi następnie zapełnia gablotki muzealne. Nic bardziej błędnego. Archeologia bada przeszłość człowieka na podstawie materialnych relikwów jego działalności. Po zakończonych badaniach co efekowniejsze zabytki ruchome są czasem eksponowane w muzeach, cała reszta trafia zaś do przepastnych magazynów

Dzięki miażdżącej różnicy zarobków nawet niezbyt dobrze sytuowany obywatel RFN stawał się bogaczem w oczach mieszkańców kraju nad Wisłą. Za niemieckie marki można było kupić wszystko, a szczególnym zainteresowaniem przybyszów znad Renu cieszyły się pamiątki po III Rzeszy, które dotychczas, z wiadomych względów, były przez Polaków traktowane z obrzydzeniem i pogardą. Owa pogarda zniknęła jednak w chwili, gdy niemiecki turysta zechciał za nie zapłacić twardymi dewizami, w wyniku czego Polacy zaczęli odkrywać ukryte piękno w kordzikach SS czy portretach Adolfa Hitlera. Tak narodziło się w Polsce grono kolekcjonerów niemieckich militariów z czasów II Wojny Światowej. Jako że niebawem popyt prześcignął podaż, ci szczęściarze, którym udało się załatwić paszport do drugiego obszaru płatniczego, mogli tam podjąć pracę i za zarobione pieniądze przywieźć do Polski pierwsze wykrywacze, których na Zachodzie nie nazywano już wykrywaczami min. W ten sposób w obliczu narastającego w RWPG kryzysu ekonomicznego, zwiastującego początek końca bloku wschodniego, klepiący biedę Polacy mogli zaznać gorączki poszukiwania skarbów, którą Holendrzy czy Belgowie przeżyli ćwierć wieku wcześniej. Jak widać, w jednym i drugim przypadku u podwalin hobby zwanego detektoryzmem stały tragiczna sytuacja ekonomiczna oraz brak perspektyw, które wraz z poprawą warunków materialnych przeradzały się w rodzaj rekreacji. Kiedy dzikie lata dziewięćdziesiąte minęły, a Polakom zaczęło się żyć lepiej, zarzucili zgubny proceder szukania z wykrywaczem z chęci zysku, zamieniając go na hobbystyczne kopanie dziur w ziemi.

Detektoryzm a sprawa polska

Rozrywka ta stała się popularna do tego stopnia, że w końcu zainteresowali się nią nasi szanowni politycy, którzy, szczególnie przed wyborami, lubią być tytułowani sługami narodu. Ich zainteresowanie wynikało z faktu, że wybory się właśnie zbliżały, a ludzie, którzy zdążyli już nazwać

się eksploratorami, mogli stać się ponadstutysięcznym elektoratem. Swym zwyczajem politycy zaczęli się więc przymilać do potencjalnych wyborców, a ci, uwierzywszy w swą siłę, głośno zaczęli ją manifestować i ogłaszać się ratownikami narodowej spuścizny historycznej. Jak uzasadniali swój wkład w ratowanie owej spuścizny? Otóż według wersji kanonicznej mieli oni wydobywać z ziemi stare przedmioty, które wskutek zalegania w glebie były narażone na nieuchronne obrócenie się w pył, a tym samym osierocenie dziedzictwa kulturowego Narodu Polskiego. Detektoryzm miał więc być wybawcą owego dziedzictwa, które pozbawione pomocy, obróciłoby się w niebyt. A cóż znaczy naród bez spuścizny ojców?

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

WYRUSZ NA POSZUKIWANIE I ODKRYJ PRAWDZIWE SKARBY

Co było oczkiem w głowie Führera? Po kim zostały tylko guziki? Bursztynowa Komnata nie istnieje?!

Słynny eksplorator-archeolog przemierza ziemie dawnego zaboru pruskiego w poszukiwaniu bezcennych skarbów historii.

Kilkadziesiąt tysięcy godzin z wykrywaczem w dłoni przekuło się na fascynujący materiał dokumentujący znaleziska i opatrzony mnóstwem zdjęć z miejsc akcji.

OLAF POPKIEWICZ

Archeolog, dziennikarz, autor podcastów i poszukiwacz skarbów, redaktor programu telewizyjnego POSZUKIWACZE HISTORII. Autor serii artykułów o tematyce historycznej ukazujących się na łamach miesięcznika „Odkrywca”.



Nr 21000146

ISBN 978-83-8074-599-5



9 788380 745995



bukowylas.pl

Cena: 69,90 zł